

Jak było?

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

■ Pięćdziesiąt wspomnień, pięćdziesiąt różnych spojrzeń na jedną osobę... Już w samym tytule książki *Joanna Bogacka. Portret wielokrotny* Łukasz Rudziński zaznacza, że do tajemnicy osoby i talentu zmarłej w 2012 roku wybitnej aktorki Joanny Bogackiej chce docierać metodą kolejnych przybliżeń, łączenia niczym puzzle okruszków wspomnień, tak by ułożyć się z nich na koniec jeden obraz.

Autor nie układa tych puzzli, powiedzmy od razu, chronologicznie, tworzą one raczej kilka grup czy perspektyw. Pierwsza, najrozsleglejsza, to oczywiście wspomnienia innych aktorów, głównie, choć niewyłącznie, z zespołu Teatru Wybrzeże, z którym Bogacka była związana niemal przez całe swoje zawodowe życie. Niewiele mniej jest wspomnień osób, które spotkały się z Bogacką w roli pedagoga, uczącego przez wiele, wiele lat podstaw aktorstwa najpierw w Studium Aktorskim przy Teatrze Wybrzeże, potem studentów gdańskiej Akademii Muzycznej oraz gdyńskiego Studium Wokalno-Aktorskiego. Spod pedagogicznej ręki aktorki wyszły takie osoby jak Danuta Stenka czy Ewa Marciniak. Kolejną perspektywę tworzą reżyserzy współpracujący z Bogacką na różnych etapach jej kariery. Nie ma ich w książce wielu, ale ich spojrzenie jest podwójnie cenne, bo zwykle, co tu kryć, bardziej wnikliwie niż kolegów z zespołu aktorskiego. Zamykają książkę wspomnienia bliskich: męża Krzysztofa Gordona (także aktora, ich wieloletni związek rozpoczął się od wspólnego występu w *Cmentarzysku samochodów* Arrabala w 1972 roku i scenicznego pocałunku, który przeszedł do teatralnej legendy) oraz siostry Iwony Bogackiej-Piękoś.

Napisałem, że wspomnienia te „zamykają książkę”, ale w rzeczywistości nic nie jest tu zamknięte, dopełnione, zupełne. Układanych puzzli jest wiele, ale jednolity obraz nie powstaje. Są to puzzle raczej w wersji 3D, z wieloma płaszczyznami i załamaniem, bywa, że biegnącymi przeciwnie. W pamięci większości aktorów Joanna Bogacka pozostała osobą raczej nieprzystępną, nie fraternizującą się przesadnie z kolegami po fachu. Sama

zresztą przestrzegała swoich studentów, by nie stali się w przyszłości „aktorami bufetowymi”, przesiadującymi w teatralnym barze i pogadującymi tam o wszystkim i o niczym, by w ostatnim momencie wybiec na scenę i wygłosić kwestię. Nie, bufet nie był przez Bogacką często nawiedzany, czas przed spektaklem spędzała raczej w garderobie, szlifując po raz setny tekst. Z drugiej jednak strony – to właśnie jedna z zarysowanych w książce „przeciwległości” – jej studenci wspominają aktorkę jako osobę bardzo otwartą. Była też z niej oczywiście straszna piła, potrafiła wymagać, umiała tak coś skomentować przy innych, że delikwentowi śniło się to potem po nocach. Ale jako pedagog (przedłużała w tej roli rodzinne tradycje) pokazuje się w tej książce jako, w pewnym przynajmniej stopniu, inna osobowość niż jako aktorka.

Najpewniej brało się to ze stosunku Joanny Bogackiej do zawodu (powołania?) aktorskiego. To akurat przewija się niezmiennie we wszystkich wspomnieniach, niezależnie od branży rozmówcy Rudzińskiego. Bogacka była pasjonatką, perfekcjonistką, wręcz fanatyczką sceny. Zwykle jako pierwsza lub przynajmniej jedna z pierwszych miała opanowany tekst, w całym procesie prób pozostawała nieznużona. Jej emploi, charyzmatyczna aktorska osobowość predestynowały ją do grania głównych ról, i takie zwykle jej powierzano, ale zdarzało się też jej grać postaci epizodyczne, zdarzało się występować w błahych komediach, co zawsze jednak traktowała poważnie i sumiennie dopracowywała. Warto może od razu dodać, że nie teatralna scena, tylko sala prób była żywiołem Bogackiej, najbardziej frapował ją i pociągał sam proces budowania postaci, późniejsze odtwarzanie tego w seryjnych przedstawieniach stawało się czymś w rodzaju koniecznego dodatku do najciekawszego etapu próbowania i cyzelowania. Co nie znaczy, że przy którymś tam przedstawieniu zaczynała pomiędzy wyjściami na scenę przesiadywać w teatralnym bufecie... Po każdym spektaklu, granym zawsze na sto procent, miała zwyczaj pytać występujących



AUTOR / ŁUKASZ RUDZIŃSKI
TYTUŁ / JOANNA BOGACKA. PORTRET
WIELOKROTNY
WYDAWCA / MUZEUM SOPOTU
MIEJSCE I ROK / SOPOT 2021

z nią kolegów: „Jak było?”, upewniając się, że w niczym „nie odpuściła”.

Ujawniał się w tym zapewne rys osobowościowy, perfekcjonizm, za którym kto wie, czy nie kryła się niepewność co do wartości własnego (dla innych niewątpliwego) talentu. Swojej siostrze zwierzała się, że wszystko zawdzięcza nie talentowi, tylko pracy. Dlatego zapewne z zazdrością popatrywała (o czym mówi się w jednym ze wspomnień) na tych szczęściarzy aktorów, którym wejście w rolę przychodziło z intuicyjną łatwością. Niemniej (no właśnie, te przeciwległe perspektywy...) jak na perfekcjonistkę była Bogacka nazbyt otwarta na to, co nowe, nieznane i nieoswojone. Taka pozostała w pamięci wielu współpracujących z nią osób, m.in. Jana Klaty, który poznał aktorkę przy okazji wystawienia *H.* w 2004 roku w Teatrze Wybrzeże. Bogacka była już wtedy gwiazdą zespołu, a Kłata, cóż, reżyserskim gównia-

Joanna Bogacka była pasjonatką, perfekcjonistką, wręcz fanatyczką sceny. Ale to sala prób stała się jej żywiołem, najbardziej frapował ją i pociągał sam proces budowania postaci.

rzem, z mniej niż skromnym dorobkiem. Nie będzie chyba błędem stwierdzenie, że to gdański *H.* umieścił Jana Klatę na innej już teatralnej orbicie. A nie stałoby się tak, gdyby nie przyjęcie, jakie zgotowała Klacie Bogacka, obsadzona w roli Gertrudy. „Joanna – wspomina Kłata pierwsze spotkanie z obsadą – słuchając, o czym mówię, wzięła długopis i pottrzymała go przez dłuższą chwilę w ręce. Nie pamiętam, co powiedziałem, gdy ona zamasyżuje się na swoim egzemplarzu podpisała”. To był podpis złożony w ciemno i potem dotrzymywany. „Wielcy aktorzy – wspomina dalej Kłata – często mają tendencję do stawiania się zręcznymi politykami. Niby są z reżyserem w dążeniu do koncepcji, ale jak tylko pojawiają się jakieś problemy, to potrafią zagrać tak, żeby się zdystansować [...]. Joanna Bogacka wchodziła w *H.* na sto procent”.

Obraz aktorki pracowicie i żmudnie szlifującej rolę, jaki moglibyśmy sobie zbudować na podstawie wielu wspomnień, burzy jednak inna reżyserska wypowiedź – André Hübnera-Ochodlo, który zaprosił Bogacką do swojego Teatru Atelier w Sopocie. W całej historii Atelier jednym z najważniejszych wydarzeń była premiera w 2009 roku *Szarego Anioła* Moritza Rinkego. Bogacka, zmagająca się już wtedy z chorobą, z roli Marleny Dietrich uczyniła prawdziwą kreację. Żmudnie pracując nad tekstem? A gdzieżby... „Próby mieliśmy w mieszkaniu przy ul. Architektów w Sopocie” – wspomina Hübner-Ochodlo. „Oboje [Bogacka i Giennadij Mitnik] całkowicie odrzucili wszelkie ograniczenia, wstyd i własne przekonania [...]. To były próby pełne improvizacji. Tak podczas nich szaleliśmy, że nieraz przyjeżdżała do nas policja. Sąsiedzi, słysząc krzyki, myśleli, że dzieją się u nas straszne rzeczy”.

Zatem – „jak było”? Jaki był aktorski warsztat Joanny Bogackiej? Nie ma na to jednej odpowiedzi. Albo może odpowiedzią jest zdanie ze wspomnień Krzysztofa Babickiego: „Joanna była aktorką tematów, a nie sposobu. Pytała, o czym chcemy zrobić spektakl czy daną scenę, doskonale wiedząc, że sposób na nią znaj-

dzie się wcześniej czy później”. Warsztat, metodę, potrafiła Bogacka dopasowywać do tego, co miało być powiedziane. Jeśli było trzeba, dopasowując to tak, że przyjeżdżała policja na sygnale...

Nie da się również sprowadzić do jednego profilu osobowości Joanny Bogackiej, tak jak jest ona wspominana przez ludzi, którzy spotkali się z nią w różnych momentach jej i własnej życiowej drogi. Dyskretna wyniosłość i życzliwa otwartość to niejedna „przeciwległość” uchwytywanego przez innych charakteru Bogackiej. Nie miałoby sensu wyliczanie tych „przeciwległości”, bo pięćdziesiąt zawartych w książce wspomnień opowiadanych jest przecież z bardzo różnych miejsc i bardzo różnych dystansów. Są tu i spojrzenia z daleka, czasem powierzchowne, są i spojrzenia prowadzące nas głębiej. Jednak również te drugie zatrzymują się na czymś w rodzaju przesłony. Tylko nieliczni z wypowiadających się potrafili ją dostrzec, jeszcze bardziej nieliczni próbowali domyśleć się, co ukrywało się za nią. „Nosila w sobie straszny smutek, choć nigdy tego nie mówiła” – wspomina Kazimierz Kutz. „Była wypełniona kobiecym, cichym cierpieniem”. Kutz domyśla się, że gdzieś głębiej Bogacka kryła w sobie emocjonalne ślady po pierwszym nieudanym małżeństwie. Gdy czyta się bezceremonialne zdanie ze wspomnień pierwszego męża aktorki, Jerzego Surdela: „Nie mogę przyznać, że jakoś specjalnie wyróżniała się talentem”, przypuszczenia Kutza zaczynają wyglądać dość prawdopodobnie... Ale czy to cała odpowiedź? „Aktor potrzebuje specjalnego chitynowego pancerzyka, w którym będzie mógł zachować swoją delikatność i wrażliwość” – to przywoływane przez Macieja Konopińskiego zdanie samej Bogackiej, wkładane przez nią do głów studentom gdyńskiego Studium Wokalno-Aktorskiego. Może właśnie wrażliwość (nadwrażliwość?) kryła się za ową przesłoną?

Może właśnie wrażliwość jest też wyjaśnieniem jeszcze jednej zagadki, związanej z aktorską karierą Bogackiej, zagadki, o której mówi kilkoro rozmówców Rudzińskiego: dlaczego

gwiazda Teatru Wybrzeże, przez niektórych oceniana w tej książce jako aktorka europejskiego formatu, nie zrobiła błyskotliwej kariery? Zapewne wzięło się to w jakiejś części z tego, że widziała siebie tylko w teatrze, a w ciągu dekad jej pracy to nie scena, tylko serial i kino stawały się najlepszym wehikułem do sukcesu. Ale przyczyny kryły się chyba głównie w osobowości aktorki. Nie chciała, mimo wszystko, podporządkować karierze całego życia, broniła swej prywatności, swojej domowej przestrzeni przed pochłonięciem przez teatr. Nie miała też w sobie genu bezwzględnej rywalizacji, bez którego w tym zawodzie trudno jest się przebić do pierwszego szeregu. Jeśli na przykład pomiędzy Joanną Bogacką a Dorotą Kolak, dwiema gwiazdami jednego aktorskiego zespołu, zawiązywała się jakaś rywalizacja, to „zawsze była uczciwa i w ramach założonych przez twórców” – wspomina Kolak.

Choć w dziejach polskiego teatru Joanna Bogacka nie zapisała rozdziału odpowiadającego mierze jej talentu, niewątpliwie jednak – to właśnie dokumentuje książka Łukasza Rudzińskiego – dla gdańskiego, szerzej: trójmiejskiego życia teatralnego pozostaje do dzisiaj, w dziesięć lat po jej śmierci, postacią szczególnie istotną. Perspektywy, z jakich pokazywany jest talent i osobowość aktorki, pozostają tu różne, wspólnie zatrzymują się na progu, poza którym kryje się tajemnica ludzkiej osoby – wszystko to prawda. Ale gdy spojrzymy na ślad, jaki ta osobowość odcisnęła w ludziach, którzy się z Joanną Bogacką spotykali, uderza, jak często mówią oni o szczególnym znaczeniu, jakie ma dla nich do dzisiaj pamięć o aktorce. „Przez Joannę zostałam aktorką” (Danuta Borsuk); „Była dla mnie mistrzem i wielkim autorytetem” (Ewa Marciniak); „Wypaliła we mnie obraz człowieka teatru, aktorki, jaką kiedyś w przyszłości marzyło mi się być” (Danuta Stenka); „Po pracy z Joanną Bogacką mogę stwierdzić, że jestem reżyserem spełnionym. Już dziś mogę przyznać, że była aktorką mojego życia” (André Hübner-Ochodlo). Może podobne deklaracje znaczą więcej niż błyskotliwa kariera? ■